

## O, MOJA WIARO...

Wszyscy znają opowieść o węglarzu. Ten nieokrzesany człowiek, którego zawód zmusza go do życia w lasach, daleko od wykształconego świata, odpowiada na pytania pewnego teologa, zabawiającego się w egzaminowanie węglarza z jego wiary. Na pytanie: „w co wierzysz?” węglarz odpowiada, że wierzy w to, w co wierzy Kościół. A zapytany, w co wierzy Kościół — odpowiada: „Wierzy w to, w co ja wierzę”

Do dziś zachowało się wyrażenie: „wiara węglarza”, oznaczające wiarę naiwną, której obce jest wszelkie rozumowanie. Słyszy się, że taka wiara jest już obecnie niemożliwa. Chętnie to przyznaję. Ale czy chodzi rzeczywiście o „wiarę węglarza”?

Odpowiedź węglarza z anegdoty zdaje się w istocie charakteryzować nie tylko genialną, nigdy nie przemijającą i ostateczną trafnością, ale także nieoczekiwaną głębią spekulatywną. Dzieje się tak dlatego, iż odpowiedź ta wyznacza pewien krąg, którego poszczególne elementy warto przeanalizować.

1. „Ja”, od którego rozpoczyna się zdanie, nie opiera się na sobie samym, ani na swym własnym punkcie widzenia. Nie ma tu żadnego uświadamiania sobie, ani żadnego *cogito*, ani również żadnej dedukcji, jeśli chodzi o *nie-ja*. „Ja” jest wspomniane jedynie jako nietrwała podpora w procesie wykraczania poza siebie samego. Pojawia się po to, aby natychmiast uciec, ale nie w siebie samego. Znane są wybiegi, dzięki którym „ja” usuwa się w cień, ale na rzecz „my” pozwalającego mu uniknąć niepokoju wywołanego tym, że jest tylko sobą, i poczuć się silnym elementarną siłą mas, lub rozgrzanym przez wilgotne ciepło kręgu, w którym każdy wzmacnia swe przekonania przekonaniem innych (wiara karbonariusza). Tu — nic z tych rzeczy: „ja” przechodzi w jednostkę obiektywną (trzecia osoba). Kto wierzy? Nie ja, ale ktoś inny, będący Kościołem: „Nie zważaj na moje grzechy, lecz na wiarę swego Kościoła”

2. Odpowiedź zawiera jednak słowo „wierzyć”, które łączy się z podmiotem w pierwszej osobie. Tym, kto wierzy, jestem „ja” „Ja” ustępuje dopiero wtedy, gdy już objawiło się jako takie, i gdy wyznało swą wiarę. Owo osławione: „wierzę, przyjdź z pomocą memu niedowiarstwu”, najpierw potwierdza wiarę i nigdy nie przestaje jej potwierdzać. Wbrew temu, co przychodzi od razu

na myśl, przyznanie się do niedowiarstwa, które kończy to wyznanie, jest jeszcze aktem wiary. Jest nawet, być może, charakterystyczne dla aktu wiary. Wierzyć, to przyznawać się do swego niedowiarstwa. Ale nie przyznawać, że jest się niedowiarciem. Albowiem najważniejsze jest tu to, aby niedowiarstwo było powierzone nie sobie samemu (co czyniłoby z niego zadufaną w sobie niewiarę), ale właśnie temu, w kogo się wierzy. Tak jak niedowiarstwo nie podlega stwierdzeniu, tak samo wiara podlega stwierdzeniu jedynie wtedy, gdy uznaje zależność od swego przedmiotu, jedyne, jaki może wzbudzić wiarę, o której wierzący wie, że jest do niej niezdolny.

3. „Wierzę” zakłada więc — *implicite* — „nie wierzę”. Co jest jego przedmiotem? Nie wierzę, jeśli to, w co wierzę, jest tym, w co *ja* wierzę. Być może, wierzę w coś, ale jeśli wierzę tylko w to, w co *ja* wierzę, to w co wierzę, nie jest tym, w co wierzy Kościół, ale czymś innym, będącym tylko częściowo zbieżnym — lub wcale — z tym, w co wierzy Kościół. Nie wierzę, lub zupełnie nie wierzę w to, w co wierzy Kościół. To, w co nie wierzę, jest przedmiotem wiary. A nie wierzę w to, dlatego, że jest to tym, w co *ja* wierzę. Jeśli *ja* wierzę, to moja wiara znajduje się obok samej siebie.

4. Tak dzieje się również — chociaż w innym sensie — w przypadku, gdy *wierzę*. Ponieważ jeśli *wierzę*, wówczas nie wierzę w to, w co *ja* wierzę, ale w to, w co wierzy Kościół. Przedmiot mej wiary: „to”, nie jest przedmiotem przede wszystkim mojej wiary, lecz wiary Kościoła. Wierzę w *to*, ponieważ wierzy w *to* Kościół. Wiara Kościoła musi poprzedzać mą własną wiarę, aby ta ostatnia mogła otrzymać swój przedmiot. Przedmiotem wiary nie jestem ja, lecz Kościół.

5. Wszystko tu się odwraca i obraca wokół owego „to”. Ponieważ „to”, w co się wierzy, jest w ten sam sposób obecne dla Kościoła co dla mnie, Kościół nie jest w lepszym położeniu niż ja w stosunku do przedmiotu wiary. Lub raczej, nawet jeśli wierzy on *lepiej* niż ja, jego pozycja wobec tego, w co się wierzy, jest także pozycją *wiary*. Nawet nauczanie Kościoła nie polega na uczeniu tego, co Kościół wie, lecz na wyznawaniu tego, w co wierzy. Owo „to” nie jest dane Kościołowi jako przedmiot wiedzy. Stosunek wierzącego do Kościoła nie jest stosunkiem działacza (który ma tylko dwoje oczu) do Partii, która ma ich tysiąc. W *to*, w co *ja* wierzę, *wierzy* również Kościół.

6. Wierzy w *to*, a ja wierzę w tym samym stopniu w *to*, w co on wierzy. Nie wierzę w *to*, co dokonuje się w Kościele, albowiem

może to być robione źle. Ani w to, co się tam mówi, gdyż może to być źle powiedziane. Wierzę w to, w co on wierzy. Ale czy on w to wierzy? Kim jest Kościół, jeśli jest tym, kto wierzy w to, w co ja wierzę? Pytanie to pozwala odróżnić to, co jest Kościoła, od tego, co nie jest jego. Wierzę Kościołowi, o ile określa się on przez posługę działającą i mówiącą o tym, w co Kościół wierzy. Ni mniej ni więcej. To, co przemawia i to, co działa w Kościele, nie jest instancją, na którą mógłbym zrzucić ciężar mojego obowiązku wiary. Jest to miejsce święte, w którym składa on swój kult. Miejsce puste, do którego wypełnienia zostałem powołany, a mogę je wypełnić jedynie przez świętość upodabniającą mnie do jedyne go podmiotu wiary. Głowy Kościoła, Księcia i celu wiary, do Jezusa Chrystusa.

7. Wierzę Kościołowi, o ile służy on temu, w co wierzy, czyli wierzę mu, o ile sprawia, że jestem sam w stanie stać się tym, czym On jest. Ponieważ to, czym On jest, to nie jest On, lecz Jezus Chrystus, dlatego wiara nie jest czymś, co Kościół posiada, lecz czymś, co go określa. Poprzez swe sakramenty Kościół upodabnia się do Chrystusa, przystosowując do Niego każdego swego członka. Dlatego właśnie Eucharystia i wiara wzajemnie się potwierdzają. Tak więc wierzę jedynie w to, w co wierzę; co nie oznacza, że wierzę tylko sobie samemu. Wprost przeciwnie, albowiem ten krąg się zamyka, gdy „to”, w co wierzę, odmieniło „ja”, które wierzy.

Widzimy więc, że czasownik „wierzyć” może być odmieniany w pierwszej osobie liczby pojedynczej dopiero po uprzednim podjęciu pewnych środków ostrożności. W przeciwnym razie, wiary nie da się odróżnić od zwykłego wierzenia w cokolwiek. Ścisłej mówiąc, należy pamiętać tu o jednym, jedynym warunku: zaimek osobowy „ja” musi otrzymać, dzięki swemu użyciu z czasownikiem „wierzyć”, zupełnie nową treść.

Podsumujmy. „Ja” opuszcza miejsce podmiotu wiary. Nie ja wierzę, lecz Kościół. W istocie, ja nie wierzę w to, co jest przedmiotem wiary. Mogę wierzyć tylko wtedy, kiedy wierzę w to, w co wierzy Kościół. Przyjmuję przedmiot mej wiary jako coś co jest przedmiotem wiary Kościoła. O ile przyjmuję ten przedmiot, moja wiara jest zbieżna z wiarą Kościoła. Ale Kościół określa się przez tę wiarę i jedynie przez nią. Wierząc, staję się więc Kościołem, do którego przystępuję.

Jeśli tak się dzieje, wiara i przynależność do Kościoła nie są dwiema rzeczami istniejącymi obok siebie, lecz jedną i tą samą rzeczą. Poza Kościołem nie ma wiary. Różnica pomiędzy początkowym „ja” i tym „ja”, które pojawia się na końcu drogi, jaką

przedstawiliśmy, polega na tym, że końcowe „ja” stało się członkiem Kościoła.

Przemianę, jakiej uległo „ja”, można wówczas opisać, jako ustanowienie związku pomiędzy jednostką i kolektywem, czyli przy użyciu słów wziętych z polityki. Kwestia wiary nabiera charakteru teologiczno-politycznego. Ale w związku z tym, że wchodzi w sferę teologiczno-polityczną, problem teologiczno-polityczny trzeba będzie postawić w nowy sposób, który być może da się wyłożyć w oparciu o model teorii umowy społecznej.

W teorii tej nie chodzi już o to, czy istnieje jakieś prawo bożkie, czy powinno ono rządzić państwem ludzi, a jeśli tak, to w jaki sposób. Jest na odwrót: odступujemy od kwestii prawa, aby postawić kwestię samego powstawania państwa jako przestrzeni, wewnątrz której prawo obowiązuje, i tego, co daje temu prawu moc, czyli woli ogółu. Równolegle, można by wprowadzić tu pojęcie *umowy kościelnej*. Odpowiedź tego nadzwyczajnego węglarza dokładnie opisuje jej podstawowy proces: każdy składa swą wiarę w ręce Kościoła i otrzymuje od niego wiarę ogólną (*ubique et semper*). Może to mieć miejsce tylko wówczas, gdy to, w co wierzę, jest tym samym, w co wierzy Kościół. Treść („to”) musi móc trwać niezależnie od indywidualnego aktu wiary, będącego jej nośnikiem. Musi więc móc znaleźć pewną trwałość w tym, co ogólne. Przejściu od stanu naturalnego do stanu kościelnego towarzyszy więc w przypadku wiary przejście do rozumu.

Na tym właśnie poziomie należy postawić problem związku pomiędzy wiarą i rozumem. W umowie społecznej rozum jawi się przede wszystkim jako posługiwanie się teorią (ukierunkowany jest on wówczas na poznanie), jako wola mogąca objąć wszystkich i sama zawierająca zasadę swej uniwersalizacji — w odróżnieniu od zwykłej chęci. Także w tym przypadku wiara nie jest konfrontowana od zewnątrz z „rozumem” teoretycznym. Przeciwnie, zawiera ona w sobie samej swą uniwersalizację, jako wolność.

Doktryna umowy społecznej prowadzi do koncepcji wolności jako „posłuszeństwa prawu, jakie sobie narzuciliśmy”, jednym słowem — jako niezależności. Czy można zastosować tę koncepcję do wiary i powiedzieć: „wierzę w to, w co wierzę?” Przekonał się, że tak i nie, ale zwłaszcza nie. W wierze jest, co prawda, niezależność, ale niezależność pośrednia. Jest pośrednia ponieważ „ja” nie jest w niej założone z góry, lecz otrzymane. Wówczas koło się zamyka: „ja”, które oświadcza, że nie jest podmiotem wiary, może to powiedzieć dopiero wówczas, gdy nim się stało.

Dotychczas zakładaliśmy, że „ja” przyznające, iż nie wierzy, wywłaszcza się z przedmiotu wiary i przekazuje go w posiadanie Kościołowi. Obecnie musimy przyjąć bardziej radykalną koncepcję wywłaszczania, które ma miejsce w wierze, a które się dzieli na dwie części. Wyzbywam się podmiotu wiary, a tym samym otrzymuję jej przedmiot; Kościół wyzbywa się przedmiotu wiary, a tym samym staje się jej podmiotem. Jednakże, o ile staję się Kościołem, jestem pozbawiony także przedmiotu. Ale jednocześnie, ponieważ moje przystąpienie do Kościoła spowodowało, że opuściłem miejsce podmiotu, otrzymuję mimo wszystko przedmiot wiary. Otrzymuję go, będąc zarazem go pozbawionym; jestem go pozbawiony w tej samej mierze, w jakiej go otrzymuję. Otrzymywanie i pozbawianie są więc zbieżne, jeśli to, co otrzymuję, jest tym, co jest mi dane. W istocie to, co jest mi dane, jako to, co jest mi dane, nie należy do mnie. Tak więc, ponieważ przedmiot wiary jest mi dany, jest mi on jednocześnie zabrany.

Ale jest mi on naprawdę dany. I właśnie, ponieważ jest mi dany, wywłaszcza mnie. Nie muszę więc najpierw opróżnić się ze wszystkiego, aby go przyjąć, tak jakby ta próżnia (duchowa) miała go wchłonąć. Nie mogę wywłaszczyć się sam. Pokora, która przyznaje, że jest niegodna, nie jest jeszcze wystarczająco pokorna, ponieważ uznaje siebie za niegodną. Uznać, że jest się niegodnym, to może być nawet szczyt pychy. Prawdziwa pokora polega na uznaniu, że Bóg może wyjść poza to, co w człowieku niegodne, i sprawić, że człowiek ten uczyni to samo, co uczyniłby, będąc godnym — czyli, że godność czy niegodność są obojętne. To, co mnie wywłaszcza — to nic innego niż moja przynależność do Kościoła, a więc moje posiadanie przedmiotu.

Samowywłaszczenie może być środkiem wiodącym do umocnienia się w swej niezależności wobec wszelkiej treści, a więc w określony sposób także do upewnienia się o swym własnym posiadaniu. Nie dzieje się tak w przypadku wiary. Nie należę w niej sam do siebie na tyle, aby móc się samemu wywłaszczyć. Muszę stać się podmiotem wiary. W wierze podmiot tworzy się przez samounicestwienie. A unicestwia się, otrzymując siebie. Pojmowanie wiary prowadzi więc do radykalizacji pojęcia skończoności. Dla podmiotu, być skończonym — to być niezdolnym do wytworzenia swej własnej treści, którą podmiot musi otrzymywać z zewnątrz. W przypadku wiary otrzymuje się nie tylko treść podmiotu, lecz nawet sam podmiot. Ale dany właśnie sobie samemu. Jego niezależność jest mu dana. Dana nie przez abstrahowanie od wszelkiej treści, lecz ponieważ dana jest mu treść.

Temu, kto ją otrzymuje, jakakolwiek treść nie może zapewnić niezależności, zamiast go obciążyć. Może to jedynie uczynić treść bardzo szczególna, będąca bardziej mną niż ja sam. Nie kto inny, jak sam Bóg daje się wierze i daje jej swą własną absolutną wolność. Wolność absolutna, to taka, przez którą można wyzwolić się od samego siebie. Ja staję się kimś innym, lecz ten ktoś inny jest mną. Otrzymując tę wolność, wiara sprawia, że staję się kimś innym (konwersja) oraz że pojmuję innego jako siebie (miłość).

Wierze nie dane jest nic innego, jak sam Ten, który daje. Wiara usuwa podmiot, dając go jego przedmiotowi. Ale przedmiot sam oddaje się wierze. Wiara wyznaje, że jest niewierząca, niezdolna do tego, by wierzyć, a tym samym staje się wiarą, którą jest. Albowiem to już nie ona wierzy, ale Bóg, który się jej daje. Tym samym, wyznany grzech jest wybaczony całkowicie, a nie tylko połowicznie. Bóg odpuszcza każdy grzech, a grzesznik musi tylko przyznać, że jego postawa była grzechem, aby została mu natychmiast wybaczona. Właśnie dlatego świadomość grzechu i świętość wzrastają jednocześnie. Tak samo, jak świadomość braku wiary rośnie wraz z wiarą.

Tym, co jest dane wierze, nie jest więc przedmiot wiary, ale raczej jej podmiot. Dlatego można wierzyć jedynie w coś niewiarygodnego. Wiara w cokolwiek, począwszy od przekonania, że jutro także wszędzie słońce, a skończywszy na najbardziej nierozsądnych kalkulacjach dotyczących przyszłości, polega na tym, że wierzy się jedynie w to, w co jest się skłonny uwierzyć. Dlatego też człowiek nie wierzy nigdy w to, co jest całkowicie nieprawdopodobne, ponieważ za takie je właśnie uznaje. Nie dzieje się tak w przypadku wiary w Boga. Posiada ona przedmiot, który nie jest dla niej, ponieważ jej się wymyka, gdy tylko stanie się przedmiotem wiary, aby zawładnąć samą wiarą.

Bóg daje się temu, kto się na Niego zda. Dzieje się tak, ponieważ Bóg przychodzi, by zamieszkać w wierzącym. I dokonuje tam tego, czego ciągle dokonuje w sobie samym: zdaje się na siebie samego w miłości (*caritas*). Kochać miłością, to zmienić przedmiot miłości w jej podmiot: kto tak kocha, kocha jedynie z powodu tego, kogo kocha, a nie z racji swej własnej zdolności do kochania. Kto kocha miłością, wie, że nie kocha. Ale wie także, że ten, kogo kocha, może go pokochać. Taka jest jego nadzieja. Tak więc wiara wchodzi w skład systemu cnót nazywanych teologicznymi i prowadzi nas do zdobycia tej spośród nich, która jest także imieniem Boga — miłości.

tłum. Małgorzata Tryc-Ostrowska